

- rrii. Wrocław: Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 623 s., il. ISBN 978-83-66267-11-4.
- Bernacki, Paweł (2020). *Polska książka artystyczna po 1989 roku w perspektywie bibliologicznej*. Wrocław: Oficyna Wydawnicza Atut – Wrocławskie Wydaw. Oświatowe 378 s., il. ISBN 978-83-7977-482-1.
- Ciszewska-Pawłowska, Wanda; Centek, Barbara, red. (2020). *Piętno władzy. Studia nad cenzurą i zakresem wolności słowa*. Toruń: Wydaw. Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, 254 s. ISBN 978-83-231-4355-0.
- Dukaj, Jacek (2019). *Po piśmie*. Kraków: Wydaw. Literackie, 411 s. ISBN 978-83-08-06874-8.
- Kobyliński, Zbigniew (2020). *Zarządzanie dziedzictwem kulturowym. Wprowadzenie do problematyki*. Warszawa: Wydaw. Naukowe UKSW, 363 s., il. ISBN 978-83-8090-726-3.
- Ogonowska, Anna (2019). *Warszawa i Mazowsze w bibliotekach cyfrowych. Podręcznik rozwijania kompetencji cyfrowych*. Warszawa: Wydaw. Instytutu Nauki o Polityce, 110 s., il. Biblioteka Dydaktyczna Instytutu Nauki o Polityce. ISBN 978-83-934464-2-9; <http://inop.edu.pl/docs/podreczniki/Kompetencje_cyfrowe_ebook.pdf>.
- Piasecka-Strzelec, Renata (2019). *Polskie agencje prasowe w rozwoju historycznym. Kontekst polityczny, ewolucja modelu oraz technik przekazu informacji*. Kraków: Towarzystwo: Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych „Universitas”, 253 s., il. ISBN 978-83-242-3506-3.
- Wiśniewska, Dominika (2018). *Rynek prasy w rozwiniętym społeczeństwie obywatelskim na przykładzie Szwecji. Prasa wobec wyzwań epoki cyfrowej*. Warszawa: Oficyna Wydawnicza Aspra – JR, 335 s., il. ISBN 978-83-7545-842-6.
- Żołędowska-Król, Beata (2019). *Rozwój myśli księgoznawczej i bibliotekoznawczej w świetle czasopism naukowych i fachowych wydawanych na terenach ziem polskich (1901-1939)*. Katowice: Wydaw. Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, 502 s. Prace Naukowe Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach 0208 - 6336; nr 3874. ISBN 878-83-226-3697-8.

Barbara Koryś

Tekst wpłynął do Redakcji 16 listopada 2020 r.

Z LEKTUR ZAGRANICZNYCH

Dosyć bezczelnie lansuję na tych łamach tezę, jakoby prezentował obfity przegląd naukowego piśmiennictwa okołobibliotecznego z różnych regionów świata, tymczasem jednak to są jedynie doniesienia wybrane, mocno odległe od kompletności. A czy to, co wynajduję, reprezentuje poziom godziwy? W moim przeświadczeniu, przeważnie tak. W każdym razie z zasady staram się pomijać wypowiedzi jednoznacznie marne. Chociaż... nie zawsze i nie całkowicie. No bo

jak przegląd, to przegląd. W końcu nie jest tak, żeby akurat w tym naszym obszarze zainteresowań publikowano same rewelacje.

Jednak tym razem muszę przyznać się do przeoczenia i wpadki, albo na odwrót. W stosownym czasie nie zauważyłem mianowicie w oryginale świetnego tekstu¹ autorki amerykańskiej, znanej mi przecież: to profesor neurologii na uniwersytecie w Los Angeles, zajmująca się czytaniem oraz dysleksją. I wpadł mi przed oczy dopiero przekład czeski. Wartości zapewne nie ubyło, ale opóźnienie jest dwuletnie.



KU MĄDROŚCI [*****]

Maryanne Wolfová: *Čtenáři, vrať se. Mozek a čtení v digitálním světě*. Przeł. [z ang. na czeski] Romana Hegedüsová. Brno: Host, 2020, 264 s. ISBN 978-80-275-0011-6.

Autorka uważa, że w naturalnej dyspozycyjności ludzkiej znajduje się mowa, natomiast umiejętność czytania należy opanować od zera, ponieważ jest sztuczna. Ale z kolei także wysoce produktywna, więc wysiłek się opłaca. No i jest to możliwe, ze względu na plastyczność umysłu – neurony przekraczają umiejętności wrodzone – ale trzeba nastawić się specjalnie oraz od samego początku. Jak też chronić przed destrukcyjnym wpływem komunikacji digitalnej, taki bowiem jest.

Rozwój mentalny ma miejsce na trzech scenach głównych. Mianowicie wizualnej, werbalnej oraz poznawczej. Ale także na dwóch pomniejszych: motorycznej i emocjonalnej. Rzecz w tym zaś, że na wszystkich pięciu łącznie neurony są aktywizowane za sprawą czytania. Dlatego jest takie ważne.

Jednak pod warunkiem, że będzie to czytanie głębokie, oparte na rozważeniu i ewentualnie przejęciu cudzego spojrzenia oraz opinii. Na tym polega zjawisko empatii. Tymczasem obecnie występowanie empatii wśród młodzieży redukuje się zdecydowanie. Powinno mieć miejsce wnikanie w cudzą świadomość oraz przekraczanie granic tego, co już się wie – z pogłębieniem dociekań krytycznych. Niestety komunikacja technologiczna redukuje to w stopniu zatrważającym.

O tym mało kto mówi i pisze, ale obniża się nastawienie na czytanie pogłębione. Digitalność ma w tym udział, zniechęca bowiem do czytania z druku i sugeruje płytkie klikanie. Przelicytowuje czytanie wśród dzieci, a studentom odbiera cierpliwość do czytania dłuższego oraz do zapamiętywania. Podpowiada za to myślenie w trybie konika polnego, czyli skokowe nastawienie na nieustanne a płytkie nowości. Ma miejsce przepływ licznych treści, z których nie tworzą się jednak ważne treści nowe.

Nie spotkałem dotychczas wypowiedzi doświadczonego neurologa, z równie bogatym i szanowanym dorobkiem, tak jednoznacznie wskazującej na mnożące się aktualnie zagrożenia w stosunku do piśmiennictwa ze strony digitalistów. Trzeba więc komunikację piśmienniczą chronić. Nie dając jej utonąć w oceanie

¹ M. Wolf: *Reader, Come Home. The Reading Brain in a Digital World*. New York: Harper Collins, 2018.

komunikatów zdigitalizowanych, natomiast wykorzystując stosowne do cech, które prezentuje. Jednak biblioteki same nie poradzą sobie z takim zadaniem na pewno. Za to z całą pewnością mogą pomóc.

Ale to jest przede wszystkim program domowy: trzeba zacząć od czytania w domu. I biblioteki powinny to wylansować, ale w kontekście bibliotecznego promowania mediów oraz digitalnych sieci – a to przecież dominuje w całym bibliotecznym piśmiennictwie – namawiania do lektur domowych właściwie nie widać. Tymczasem jest tak, że książek należy koniecznie dotykać (to istotna różnica wobec monitora), zaś pomiędzy 2 a 5 rokiem życia dzieci powinny być otoczone książkami od stóp po uszy. Z uzupełnieniem innych akcesoriów artystycznych oraz sportowych, a także (naturalnie!) z użytkowaniem przekazów digitalnych. Ale koniecznie przy zachowaniu równowagi, mądrego balansu, wobec czytania tekstów drukowanych. Umówmy się, że we wszystkich tych obszarach, zakresach, strefach, biblioteki mogą – właśnie tak jak napisałem – pomóc. Zatem więc powinny.

Prof. Wolf sugeruje, że dzieci amerykańskie radzą sobie z czytaniem gorzej, niż dzieci w innych krajach zachodnich. Ale żadnego dowodu nie dostarcza, a ja też takich doniesień badawczych nie zauważyłem. Pewnie zatem wszyscy jadą na podobnych wózkach. Natomiast zdecydowanie odradza przedwczesny start do samodzielnej nauki czytania; w 1 klasie szkoły podstawowej moment wydaje się optymalny. Wcześniej niech dzieciom czytają rodzice, dziadkowie lub ktokolwiek.

Zgodnie ze swoją specjalizacją, autorka namawia do obserwacji ewentualnych objawów dysleksji tak wcześnie, jak tylko to jest możliwe. Te bowiem występują częściej, niż wszyscy przypuszczają. A w ich następstwie dzieci zaczynają podejrzewać, że są pod jakimś względem gorsze, od innych, co nie ma nic wspólnego z prawdą. To jest po prostu przeszkoda, możliwa do przełamania i do kontrolowania.

Profilowo autorka charakteryzuje sześć standardowych modeli czytania. Z tego dwa są bardzo dobre i progresywne, a jeden jest średni. Natomiast są także trzy kiepskie oraz fatalne.

W jej opinii jest możliwe, że myślenie przyszłych pokoleń będzie kształtowało się inaczej aniżeli obecnych. Dlatego trzeba nastawić umysły na korzystanie ze wszystkich możliwości komunikacyjnych, przede wszystkim zaś dwóch: piśmienniczych oraz digitalnych. I to trzeba formować zwłaszcza przez pierwszych pięć lat życia, wtedy bowiem i w ten sposób kształtuje się dwujęzyczny mózg: właśnie piśmienniczy oraz digitalny. A wobec tego jasne, że to musi być właśnie zadanie domowe. Chociaż z bibliotecznym wsparciem także.

W czytaniu ma miejsce pozyskiwanie wiadomości, osiągnięcie przyjemności oraz rozbudowa myślenia; to ostatnie akurat w następstwie spowolnienia refleksji. Bez pośpiechu, z wielokierunkowym rozpoznaniem. Tymczasem media redukują takie myślenie: tłumią empatię i analityczność. W czytaniu tak nie jest – pod warunkiem, że wyławia się myśli najlepsze spośród zapisanych. No i to jest właśnie czytanie pogłębione. Które prowadzi ku mądrości: najwyższej formie czytania.



PERYPETIE KSIĄŻKI UKRAIŃSKIEJ [****]

Mikoła Timoszyk: *Ukrainska kniha i swit. Chudožno-publicy-styczna opowid'*. Washington-Kijiw: Ukrainskij Unwersitet Washington/Kijiwskij Nacionalnij Uniwersitet Kulturi i Mistectw, 2018, 514 s. ISBN 979-966-7821-69-2.

Dzieje książek oraz piśmiennictwa w tej części Europy są równie powikłane i dramatyczne, jak losy egzystujących tutaj narodów i dopiero z biegiem lat bywają odkłamywane oraz referowane (prawdopodobnie) w bliższej zgodności z prawdą, prezentując się publiczności inaczej, niż próbowano to lansować przez dziesięciolecia, a nawet stulecia. W różnych krajach jest to zresztą rozmaicie. Nikt przecież nie da gwarancji, że oto jednej błagi nie próbuje się tu i tam zastąpić nieprawdą inną. Ale jednak liczne przesłanki oraz powiadowienia ulegają zmianie i to swoją poznawczą wartość ma.

W takim właśnie duchu ukazała się monografia, po ukraińsku, traktująca o ukraińskim piśmiennictwie – z wyraźną próbą odcięcia się od narzuconych relacji rosyjskich oraz powiązań sowieckich, natomiast ukraińsko-nacjonalistycznych już nie. Widocznie wszystkiego naraz odrzucić nie można. Edycję firmują dwa uniwersytety, mianowicie ukraiński w Waszyngtonie (jest taki) oraz narodowy uniwersytet kultury i sztuki w Kijowie. Zaś autorem jest prof. dr Mikoła Timoszyk, literaturoznawca oraz dziennikarz z bogatym dorobkiem (bibliografię autorską pomieszczono na 16 stronach; wymienia się też osiem książek). W monografii są cztery streszczenia obcojęzyczne: angielskie, niemieckie, francuskie, oraz – co ciekawe – polskie.

Wstęp napisał inny profesor waszyngtońskiego uniwersytetu, Wołodimir Iwanienko, z podpowiedzią, że to monografia szczególnie doniosła, ponieważ wiedza ukrainistyczna jest w ogóle nędzna, ze względu na powikłane losy Ukrainy. Otóż za sprawą tych powikłań, książka ukraińska pojawiała się w wielu różnych regionach świata i to właśnie o tym wstępnie Iwanienko a dogłębniej Timoszyk snują swoje opowieści. Prostując (taka jest sugestia we wstępie) liczne nieprawdy. Przede wszystkim zaś tę i tak, że protoplastą książki ukraińskiej był nie rosyjski drukarz Iwan Fedorowicz (zresztą wydawca zasłużony), ale wcześniejszy o 112 lat Ukrainiec ze Lwowa, Stepan Dropan.

Na Ukrainie dopiero teraz pojawiają się zaczątki obiektywnych procesów badawczych ukraińskiej diaspory, z jej produkcją pisarską i wydawniczą włącznie. Na razie sprawność tego rozpoznania nie jest jednak wygórowana. Iwanienko podpowiada więc, że trzeba uczyć się od Żydów.

W moim przekonaniu Mikoła Timoszyk postąpił zgodnie z tą sugestią, zarówno weryfikując zabytki oraz charakter pierwocin piśmiennictwa ukraińskiego – ze zdecydowaną kasacją nadmiernie dotychczas dopisywanych zależności prorosyjskich – jak też tworząc globalną panoramę piśmienniczej produkcji ukraińskiej i jej bibliotecznej otoczki z okresu po I wojnie światowej. Mimo że ani kompletna, ani jednoznaczna, ani nawet spójna to ona jednak nie jest.

Ujęcie okoforosyjskie oraz odrosyjskie wymaga w ogóle odrębnego rozpracowania. Ale brakuje też odniesienia się do tego, co po ukraińsku publikowano na

terenach Polski, Czech oraz Słowacji. A w ogóle wszystko wymaga ostrożności komentatorskiej jak też interpretacyjnej. Najlepiej poprzestać więc na przejęciu powiadomień, opiniotwórstwo odkładając na dalszy plan.

Skoro czytamy tę monografię tutaj i teraz, to przeważnie mamy na temat kojarzonych zdarzeń swoje opinie, często diametralnie różne aniżeli autor. Nasz stosunek do Bandery odbiega od tego, co myśli o nim większość Ukraińców oraz co on myślał o nas, a i spuszczenia po brzytwie Petlury też prawie nikt tam nie zapominał. W autorskiej wersji główni wrogowie Ukraińców to Rosjanie i Niemcy, a nieprzyjaciele mniejszego kalibru to Rumuni oraz Polacy.

Polemika z tym stanowiskiem nie miałaby żadnego sensu. Tak uważa autor i tak też sądzi – no właśnie: większość, mniejszość? – Ukraińców. Ale monografia Timoszika usiłuje przede wszystkim pokazać, że słowo, w narodowym języku zapisane i odpowiednio rozpowszechniane, wspomogło zachowanie narodowej spoiwości w wymiarze globalnym. Wbrew różnym a licznym przeciwnościom politycznym. I myślę, że pokazuje to ponad wszelką wątpliwość. Jakkolwiek sygnalizuje jednocześnie, że to już czas po części miniony.

Na początek wziął się autor za przywołania najdawniejsze, startując mianowicie pytaniem, kto wcześniej zaczął drukować tam książki: Rosjanie czy Ukraińcy. Według niego, w 1460 r. rozpoczął działalność wydawniczą lwowski Ukrainiec, Stepan Dropan, umiejętności drukarskie przejmując z Niemiec a nie z Rosji. I było to przedsięwzięcie o 112 lat wcześniejsze, niż urodzonego w Polsce Rosjanina, Iwana Federowicza. Którego przez stulecia przedstawiano jako twórcę ukraińskiego drukarstwa. Inna sprawa, że Federowicz też reprezentował kulturę ukraińską, a drukarnię władze carskie w końcu mu zamknęły. Ale to było później.

Zdaniem autora, na Ukrainie nigdy nie było swobody publikacji, niezależnie od politycznych okoliczności. Ale szczególnie zwalczał ukraińskie piśmiennictwo Piotr Wałujew, carski minister spraw wewnętrznych. No i przez cały okres rosyjskich rządów likwidowano tam ukraińskie instytuty oraz biblioteki. Ostatni raz miało to miejsce w Moskwie w 1917 r. Kto o tym wie?

W swoim czasie pierwszą ukraińską książkę, poza rdzenną Ukrainą, wydano w Krakowie. Później, już w okresie międzywojennym, zaczęły powstawać ukraińskie ośrodki (także wydawnicze) w Polsce, w Austrii, w Czechosłowacji, oraz w Niemczech, a także we Włoszech. Z kolei po II wojnie światowej najwięcej ukraińskich wydawnictw zainstalowało się w Monachium. I tam też zaczął funkcjonować Niezależny Uniwersytet Ukraiński, z narastającym dorobkiem wydawniczym. Swoje osiągnięcia ma także Ukraiński Uniwersytet Katolicki w Rzymie – z monografiami usiłującymi odkłamać opinie na temat Ukrainy.

Szczególne zasługi Timoszik przypisuje Jewgenijowi Onackiemu, który w 1919 r. wyjechał na konferencję do Paryża i potem już nie mógł wrócić do ZSRR. Z czasem został profesorem uniwersytetu w Neapolu, a następnie w Rzymie i tam opracował słownik ukraińsko-włoski (nobilitujący język ukraiński w skali międzynarodowej), później zaś antologię prozy ukraińskiej.

Już te uwagi, powiedzmy, że wprowadzające, sygnalizują skalę trudności oraz rangę problemów wydawniczych, ale wobec tego także narodowościowych, z którymi przyszło i nadal przychodzi zmierzyć się Ukraińcom. Nam też na ogół nie było łatwo, ale nie dam głowy, czy jesteśmy w stanie je przelicytować.

Dalsze rozważania rozpisiał Timoszyk oddzielnie na różne kraje, trzymając się jednak wersji, że ukraińska diaspora jako całość jest, a przynajmniej była, względnie jednolita. No więc we Francji już w latach międzywojennych funkcjonowało kilka wydawnictw i księgarni postpetlurowskich, ze sztandarowym czasopiśmiem „Trizub” w latach 1923-1939. Była tam też drukarnia *Ukraińskie słowo*, zamknięta na czas okupacji, żeby nie kolaborować z Niemcami, a następnie reaktywowana w 1949 r. No i właśnie we Francji, ale już po wojnie, wydano *Encyklopedię ukraińsznawstwa*. Najpierw w latach 1949-1951 trzytomową, a potem dziesięciotomową w latach 1955-1989.

W samej Ukrainie funkcjonowały po wojnie wydawnictwa podziemne OUN i UPA – ostatnia broszura o banderowcach z UPA miała nakład 13 000 egz. – ale po zabójstwie Stepana Bandery w 1959 r., ukraińskie niezależne edytorstwo przeniosło się do Anglii: konkretnie do Londynu oraz do Nottingham. Wcześniej, bo w 1955 r., ukraińską działalność edytorską zainaugurowano w USA. Z kolei później, bo w 1968 r., odbył się zjazd OUN i na szefa wybrano Jarosława Stećko. To na jakiś czas wyraźnie zintensyfikowało także produkcję wydawniczą. W Europie głównym ośrodkiem ukraińskiej niezależnej produkcji piśmienniczej była Genewa.

O ukraińskościach polskich pisze Timoszyk byle co. Skupia się głównie na Iwanie Ogienko, który w latach 1933-1944 prowadził w Warszawie wydawnictwo oraz księgarnię *Nasza kultura*. Potem przeniósł się do Szwajcarii (1945-1947), żeby ostatecznie osiąść w Kanadzie. Autor chwali go za przekład *Biblii*, ale to miało miejsce później. W Polsce był podobno traktowany źle. Ale jeżeli spojrzeć się na daty, to nie ulega wątpliwości, że wdał się w banderowską kolaborację z Niemcami, więc trudno żeby go tutaj aprobowano.

Natomiast rzeczywiście później dokonał przekładu *Biblii*. Który ostatecznie dopracowała jego córka. Sama edycja miała zaś miejsce w Londynie i to dopiero w 1962 r. Jednak za translację optymalną uchodzi, późniejszy o rok, wydany w Rzymie przekład Iwana Chomiienki. A swoją drogą obie te wersje zostały w swoim czasie zakazane, zarówno przez rosyjską cerkiew, jak też przez władze sowieckie. Jak więc (nie tylko) z tego widać, opinia o autonomii rosyjskiej cerkwi to mit, nie wiadomo jakim cudem zachowany oraz powtarzany do dzisiaj.

Od lat międzywojennych w różnych miejscach na świecie powstawały uniwersyteckie katedry ukraińsznawcze, ukraińskie ośrodki kultury i biblioteki, oraz korporacje ukraińskich dziennikarzy. Ale zawsze brakowało i brakuje pieniędzy, zabezpieczeń stypendialnych, jak też odpowiednio wykształconej kadry. Zdaniem autora, żaden kraj na świecie nie poniósł aż takich strat intelektualnych. Wszystko to jeszcze zachowuje ukraiński charakter i trzyma się kupy jedynie za sprawą spontanicznych reguł 3P: Patriotyzm – Przyzwoitość – Profesjonalizm. Przy czym (wobec zdań uprzednich) wypada zgadywać, że ten profesjonalizm charakteryzuje tylko nielicznych.

Lecz jak długo to jeszcze potrwa? Obecna emigracja ma głównie charakter ekonomiczny, co i u nas wyraźnie widać, nie tworzy więc nowych skupisk kulturalnych, ani nie przykleja się do dawniejszych. Przeciwnie: spory polityczne coraz bardziej dzielą. Nawet w tolerancyjnej Kanadzie rozpoczęła się niedawno awantura wokół pomnika Ukraińskiej Armii Narodowej, nie od wczoraj przecież stojącego w Oakville. Tamtejsze ukraińskie piśmiennictwo przestało już ukraiń-

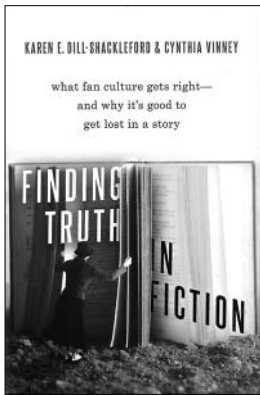
ską diasporę spajać, chociaż od dawna funkcjonuje tam znane i akceptowane wydawnictwo Trizub. A na uniwersytecie w Edmonton są studia ukrajinoznawcze. Czy przetrwają?

W USA z kolei istniała w Nowym Jorku do 2016 r. ukraińska księgarnia Bazar, ale to już przeszłość. W amerykańskim Stanfordzie funkcjonuje ukraińska biblioteka (70 tys. egz.) i szkoła z tym językiem, a także ukraińskie muzeum oraz archiwum. Lecz trzeba powtórzyć pytanie: jaka jest przyszłość? Tego nie wiadomo.

Timoszik jest zdania, że aktualnie książka ukraińska ma się najlepiej w Kanadzie oraz na Słowacji. Gdzie indziej natomiast funkcjonuje się jej kiepsko, źle lub nawet katastrofalnie. Zresztą na samej Ukrainie także niezbyt dobrze.

W ZSRR miała czas zagłady. Według jego opinii, zajmowali się nią tam bandyci. Przywracanie zaś obecnie normalności następuje z trudem. Od 2015 r. istnieje wprawdzie Ukraiński Instytut Książki – według modelu polskiego – ale specjalnych osiągnięć nie widać. Powołanie instytucji to jeszcze nic: coś ta instytucja musi robić pożytecznego.

Piśmiennictwo ukraińskie dla Ukrainy zrobiło, co mogło. Natomiast odwrotnie: dla ukraińskiego piśmiennictwa zrobiono znacznie mniej. I nie widać z tego powodu żadnego tam zawstyżenia.



KŁOPOTY Z FIKCJĄ [****]

Karen E. Dill-Shackleford, Cynthia Vinney: *Finding Truth in Fiction. What Fan Culture Gets Right – and Why it's Good to Get Lost in a Story*. Oxford: Oxford University Press, 2020, 284 s. ISBN 9780190643607.

Piśmiennictwo bibliotekoznawcze i okołobiblioteczne zostało w ostatnich latach przesadnie opanowane przez painformacjonizm. Wszystko mianowicie kojarzy się z informacją i to w dodatku z informacją przetworzoną digitalnie. Na prawach wyłączności! Gdyby tak rzeczywiście miało być, to jedyną racjonalną poradą dla bibliotekarzy wypadłoby sprowadzić do tego, żeby zwijali interes i pakowali manatki.

Ale akurat tak nie jest. Z jednej strony bogactwo form komunikacji nie ulegaubożeniu: nie ma żadnych świadectw, że piśmiennictwo rzeczywiście przelękło się digitalistów i mediów do końca. Równocześnie zaś nie można całej komunikacji utożsamiać z transmisją informacji.

Jest na to dowód stosunkowo oczywisty. Na pewno Państwo kłamiecie czasami, a i ja nie zaprzeczam, że robię to niekiedy. No więc wtedy chyba nie uprawiamy informowania. Środki publicznego przekazu czynią to tym bardziej i w skali masowej. Jednak obszar pozainformacyjny jest znacznie rozleglejszy. Obejmuje bowiem także transmisję przekazów zmyślonych, fikcyjnych, wykombinowanych. I to w praktyce bibliotek, zwłaszcza publicznych oraz szkolnych, jest szczególnie ważne. Od dawna.

Otóż za mało o tym mówimy oraz piszemy, milcząc znosimy bajdurzenia informatologów; zbyt rzadko pojawiają się na ten temat kompetentne opinie. Nasze

i nie nasze. Że mianowicie fikcja ubarwia i wzbogaca życie. Czyni nas ludźmi w o wiele pełniejszym sensie. Bez niej świat byłby znacznie mroczniejszy. Ostatnio zaczęto zwracać na to uwagę z wielu rozmaitych punktów widzenia i okazuje się, że istnieją nawet fizjologiczne efekty opowieści fikcjonalnych.

Kiedy idę na koncert lub na spektakl operowy, to żadnych informacji nie oczekuję. Rzekome informacje z *Hamleta* znam w 117 wersjach. Nawet na mecz piłki nożnej albo hokeja idę nie po to, żeby dowiedzieć się wyniku. Życie na szczęście nie jest kaskadą informacji.

Z tego powodu sygnalizuję tu unikalną na ten temat wypowiedź dwóch amerykańskich autorek, tym oryginalniejszą, że specjalizujących się w psychologii społecznej a nie wiedzy o literaturze. Jakkolwiek całość mogłaby być lepsza. Jest mało czytelnie, a po prawdzie bardzo mętnie napisana. Nie oddaje też głównej istoty problemu, a w ogóle zbyt słabo jednak oddziela fikcję od doniesień prawdziwościowych, co ma (powinno mieć) przecież miejsce także w rozległej praktyce. Wprowadzone i zastosowane sformułowanie *virtual reality* dodatkowo zamula klarowność pojęć. No ale jest jak jest.

Fikcja wymaga projektowania – no właśnie: w kategoriach fikcjonalnych, nie-realnych, wymyślonych. Co nie znaczy, żeby mało ważnych. Zwłaszcza, kiedy mowa o transmisji treści, w czym uczestniczą biblioteki. No i w tej monografii jest ku temu stosowna zachęta. Jakkolwiek nie umiem powiedzieć, czy wystarczająco silna. Oraz czy odpowiednio trafnie wyargumentowana.

Opowieści fikcjonalne – filmowe, telewizyjne, teatralne, a moim zdaniem przede wszystkim literackie – pobudzają wyobraźnię. Bez nich, zdaniem autorek, nie dałoby się żyć. No to nie wolno pozwolić, żeby zostały od bibliotek oderwane.

Pobudza się zwłaszcza sfera emocjonalna, z przenoszeniem tych impulsów na marzeniaienne i senne. W dalszej kolejności tworzą się w umysłach ich śladem oryginalne modele wymyślanego świata oraz rozmaite pożywki dla wyobrażeń osobistych. Wbrew temu, co różni opowiadają, z opowieści fikcjonalnych można wyprowadzić konkluzje poważne, wybierając po swojemu co się chce w ramach empatii, emocji, przyjemności albo refleksji bądź wszystkiego tego razem.

Z tym że są jednak określone wymagania; tak przynajmniej te autorki twierdzą. Opowieści fikcjonalne mianowicie powinny zachować możliwie liniowe struktury narracyjne, czyli mało pogmatwane i spójne, oraz utrzymać jednak elementarne reguły prawdopodobieństwa i logiki. Otóż akurat tego jest w najświeższych ofertach narracyjnych coraz mniej.

Z obserwacji wynika, że fikcjonalne opowieści przewidywalnie skłaniają do rozumowania pozytywnego oraz do myślenia o sobie. Natomiast narracje zaskakujące skutkują myśleniem negatywnym i bardziej emocjonalnym. Są tego określone następstwa. Przy odkfikcjonalnych refleksjach pozytywnych, akceptacja proponowanego wizerunku świata przychodzi zazwyczaj łatwiej aniżeli odrzucenie. Dodatkowo wpływa na to spójność opowieści, poziom emocjonalności, ale także możliwie znaczna zgodność wykreowanego (to nic, że fikcjonalnego) wizerunku świata z wyobrażeniami odbiorcy.

Zdaniem autorek sposoby pojmowania oraz odbierania fikcji kształtują się w ogólności bardzo rozmaicie. Ale – muszę to powtórzyć – sformułowane w tekście komentarze oraz objaśnienia na ten temat są nadmiernie uproszczone i mętne.

Jakkolwiek spotykałem niejedno potwierdzenie ich opinii, że dorośli często myślą fikcję z prawdą, a tym bardziej robią to dzieci. Również sugestie, że czytelnicy utożsamiają się z postaciami fikcjonalnymi oraz korzystają z nich dla chwilowej ucieczki od siebie, widywałem w rozmaitych innych opracowaniach psychologicznych. W tej monografii zaś dodatkowo zawarły się jeszcze kreatywne opinie, że świat fikcjonalny – literacki oraz filmowy – nierzadko potrafi pomóc w znalezieniu odpowiedzi na ważne pytania. Zabrakło jednak dopowiedzenia: na jakie oraz w jaki sposób. A uprawianie nauki *na gębę* ma charakter niekoniecznie naukowy.

Wygląda to zatem tak, jakby ta publikacja utknęła w połowie drogi. Potrzebna byłaby w niej pełniejsza konkluzja uzupełniająca, dokonana być może w szerszym oraz różnorodnym gronie, ewentualnie razem z literaturoznawcami oraz z klasycznymi neuropsychologami. Na użytek praktyczny natomiast koniecznie potrzeba odświeżających wskazówek w tym zakresie dla bibliotek. Którym pod żadnym pozorem nie wolno odstąpić od masowej transmisji materiałów fikcjonalnych. A takie zakusy są.



O PRZEWIDYWANIU [*]

Rachel Ivy Clarke: *Design Thinking*. Chicago: American Library Association Neal-Schuman, 2020, 59 s. ISBN 978-0-8389-1792-3.

Dobierając książki do tych przeglądów, kieruję się różnymi przesłankami – to nie może być jedna, ani rejestr stały – akceptując następnie ich wartości lub nie albo ewentualnie zmieniając kryteria. Wszystko zaś po to, żeby powstała urozmaicona panorama, możliwie rozległa, piśmiennictwa z zakresu naszej dyscypliny, pozwalająca określić trzon jej problematyki i ocenić jakość.

Tym razem (to był błąd) zaufałem rekomendacjom edytorskim. Z jednej strony ALA, bo zaoceaniczne zrzeczenie bibliotekarzy dotychczas na ogół dbało o jakość wydawanych lub sygnowanych publikacji. Z drugiej zaś firmuje tę edycję solidne niegdyś wydawnictwo Neal-Schuman. Poza tym jest w tomie rekomendacja specjalistki z ALA (tak napisano) z zakresu prognozowania (planowania, przewidywania) przyszłości bibliotek, ujawniona w zapowiedzi. No to czego potrzeba więcej?

Dopowiem: wszystkiego. Radykalnie lepszej jakości. Bliższego związku z praktyką. Oraz zwyczajnej uczciwości. Okazuje się bowiem, że wydawnictwo Neal-Schuman nie istnieje już jako edytor samodzielny, lecz złąło się z wydawnictwem ALA w jedną firmę, a wobec tego nie sprawują nad sobą wzajemnej kontroli. Informacji o tym nigdzie nie ma.

To znaczy, że ten istotny fakt ukrywa się przed klientami. W ujęciu pełniejszym: zrzeczenie bibliotekarzy nie podaje do wiadomości swoim członkom całej prawdy, natomiast liczy na dokonywanie opłat. Wygląda więc, że coś niedobrego podziąło się i od tej strony. Ten zawód miewał i ma swoje lepsze oraz gorsze momenty, lecz zawsze należał do kategorii profesji godziwych. Tymczasem

przy próbie – w ramach oferty edytorskiej – prostackiego wykiwania nabywców, w końcu wszak wyłącznie bibliotekarzy, trudno mówić o uczciwości.

Nie wszyscy traktują amerykańskie bibliotekarstwo z aprobatą, a to za sprawą wywyższania się oraz nadmiernie wysokiej tam opinii o sobie. Ci, których to razi, być może przyjmą z usatysfakcjonowaniem taki niefortunny kiks. Osobiście jednak uważam, że wiedza o bibliotekarstwie za oceanem naprawdę ma swoją wartość i lepiej, żeby nie było tam wpadek. W końcu bowiem z tego, co ktoś wie, korzystają wszyscy – niezależnie od lokalizacji. Dlatego kiepska jakość tego wypracowania żadnej satysfakcji nie przynosi.

Ale nie dało się przewidzieć. Dopiero kiedy już tę książkę kupiłem, sprowadziłem i przeczytałem, okazało się że to prawie knot. Może nie w pełni, lecz jednak częściowo. No i jest pytanie, czy na takie pół-knoty warto zwracać uwagę. Otóż mam wrażenie, że czasami, selektywnie również trzeba je sygnalizować. Żeby nikt nie myślał, że wypowiedzi oraz koncepcje okołobiblioteczne to są same rewelacje. Zarówno w USA, jak i w innych krajach absolutnie tak nie jest.

Autorka twierdzi, że pracowała kiedyś w bibliotece, ale upiera się, że jest to instytucja czysto informacyjna, więc nie wiem co tam robiła. Moje 60-letnie doświadczenie praktyczne wcale bowiem niczego takiego nie potwierdza. Może zatem nie byłoby od rzeczy, żeby przeczytała sobie tę książkę, którą tutaj przed chwilą zasygnalizowałem.

Obecnie jest profesorem nadzwyczajnym w prywatnym Syracuse University, konkretnie: w School of Information Studies. No więc kiedy porównuję standard tego jej opracowania z jakością publikacji czytanych w Polsce nie widzę najmniejszych powodów do tutejszego zażenowania. Już raczej odwrotnie. Ale ostatnio żadna satysfakcja w ogóle nigdzie nie eksploduje. Trzeba nam raczej bronić się przed intelektualną mizериą.

Referowanie w detalach treściowej zawartości tej książki trochę mi się nie widzi, ponieważ wszystko, o czym tam mowa, tacy jak ja musieli ponad pół wieku temu obwąchiwać na poziomie studenckim, ale w pogłębianym trybie. Jednak z całą pewnością nie jest tak, żeby ówczesna wiedza przedmiotowa uchowała się do dzisiaj w niezmiennym standardzie. Dla mnie osobiście wszystko to kojarzy się z Janem Zieleniewskim oraz częściowo z Władysławem Tatarkiewiczem. Oczywiście trudno, żeby współczesna autorka amerykańska kojarzyła tę wiedzę ze specjalistami polskimi i to sprzed lat, ale wszak istnieje światowa klasyka teorii zarządzania, o której nie można nie wiedzieć, jeżeli wkracza się w tę sferę zagadnień. Tymczasem wygląda na to, że akurat klasyków z tego zakresu R. Clarke nie zna, a w każdym razie wcale się do nich nie odwołuje². Wśród przywołanych przypisów przeważają zatem nazwiska nieznanne, a dominuje jedno: samej autorki.

To jest trochę jak instrukcja przechodzenia przez jezdnię albo korzystania z bankomatu. I zbieżne oczywistości obserwuję w szerszym wymiarze, kiedy rozważania dotyczące bibliotek schodzą w szczegółach na problemy organizacji oraz zarządzania; wówczas jakość referencji bywa mizerna. Także więc i tym razem w żadnym stopniu nie reprezentuje poziomu profesorskiego. Ale szczególnych pożytków refleksyjnych, koncepcyjnych ani praktycznych również nie przynosi.

² A to np. H. Fayol (1841-1925) i funkcje zarządzania; H. Le Chatelier (1850-1936) i cykl działania zorganizowanego; L. von Mises (1881-1973) i cykl prakseologiczny.

Mówiąc w najogólniejszym skrócie, autorka skupia się na referowaniu zalet myślenia wyprzedzającego, więc programowania i planowania zadań bibliotecznych – z mało czytelnym odniesieniem do prakseologicznej triady (preparacja – realizacja – kontrola) i wyeksponowaniem członu pierwszego, lecz bez pożytecznych podpowiedzi, jak to robić oraz jak postępować. To jest zatem głównie namawianie. Żeby w oparciu o procesy naukowe (ale bez wskazania, które), obmyślać przyszłościowe rozwiązania problemów i kreować wytyczne postępowania. Ale szczegółowego doradztwa nie ma, jeżeli nie liczyć wskazań na empatię; skąd jednak taki akurat wybór, tego już nie wiadomo.

Jest więc w tekście ogólnikowa namowa na myślenie prognostyczne, czyli na kreatywność, na innowację, oraz na twórcze rozwiązanie problemów. Slogany? Owszem, ale to tak właśnie brzmi. Bez doprecyzowania, kto w tym prognostycznym myśleniu czym ma się zajmować oraz w jakim stopniu. Pojawia się tylko sugestia żeby nie czekać na to, co wymyślą inni.

Ja nie twierdzę, że autorka nie ma racji. Ma, ale to jest racja tak ogólna, że właściwie żadna. Bez jakiegokolwiek poważnego umotywowania, bez uzasadnienia, bez logiki dowodów. Zniechęca zwłaszcza trywialna referencja oraz uproszczona agitacja. To jest jak opowieść, że koło powinno być okrągłe a trójkąt trójkątny.

Ale ta książka podpowiada także jeszcze inną refleksję – ogólną i smutną. Otóż bibliotekoznawstwo kiedyś to była zupełnie przyzwoita dyscyplina nauki. Nie wdepnąłbym w nią inaczej. Jednak trudna do uprawiania, bo wymagała i wymaga ożenku naukowej refleksji z nauką dydaktyką, oraz jeszcze z praktycznym uprawianiem zawodu. Z doświadczenia wiem, że to jest na granicy wykonalności.

Dlatego zaczęły się i trwają kasacje. Najprzód wyrugowano nazwę, z zamiarą na jakąś bibliologię, która nic nie znaczy, a w kontekście literaturoznawstwa musiała pójść w rozsypkę. Potem zaś daliśmy się przepędzić precz informatologom. Mimo, że informatologia jest tylko odpryskiem albo fragmentem nauki o komunikowaniu. Natomiast nie wymaga żadnego odniesienia do praktyki, to też w warunkach uczelni musiała być górą. No i w efekcie mamy to, co mamy.

W innych okolicznościach pani Clarke nie byłaby żadnym profesorem, nawet nadzwyczajnym. A przy solidnej robocie recenzenckiej chyba nie doszłoby do wydania takiej publikacji. Ogólny stan dyscypliny, jeżeli godziwy, narzuciłby wymagania znacznie wyższe. Naukowe i merytoryczne.

Problem jednak polega na tym, że to nie jest przypadek jedyny ani wyjątkowy. A powiedzmy otwarcie: po co komu eksplikacje pseudonaukowe i pseudopraktyczne, którymi trudno posłużyć się w jakimkolwiek celu. To o nauce o bibliotekarstwie każe myśleć z dużym niepokojem.



PO SĄSIEDZKU [***]

Biblioteczny wiesnik. Nawukowy zbornik. Nr 11. Minsk: Nacionalnaja Biblioteka Biełarusi, 2019, 203 s. ISSN 2308-7315.

To oczywiście, że nie wszyscy mają taki sam potencjał naukowy, zawodowy, autorski oraz wydawniczy. Różnice bywają znaczne. Ale jest też tak, że nie wszyscy odpuszczają od razu, już na samym wstępie. Niektórzy próbują wydusić z tych swoich możliwości ile się da, a niekiedy jeszcze więcej. I to zasługuje na przychylność oraz na życzliwy szacunek. Nawet jeżeli do spożytkowania nadaje się tylko część oferowanych treści.

Otóż Białoruska Biblioteka Narodowa w Mińsku wprowadziła do obiegu 11 już numer swojego rocznika naukowego, zamieszczając szereg tekstów interesujących, a przynajmniej niezłych. Te słabsze (powiedzmy, że 1/3) można pominąć milczeniem. Kontynuacja tej inicjatywy (niektóre edycje poprzednie także tu sygnalizowałem) zasługuje na akceptację. Główne zastrzeżenie natomiast – lecz akurat moje; inni mogą mieć zdanie odmienne – sprowadza się do tego, że po białorusku jest tam tylko pięć tekstów, a 16 po rosyjsku. Jednak oczywiście rozstrzyga redakcja. Której przewodniczy Ł. Kiruchina, zaś radą redakcyjną steruje prof. dr R. Matulski, dyrektor Biblioteki Narodowej. Który jako młody bibliotekoznawca, dawno temu, odbył studyjny objazd po polskich ośrodkach bibliotekoznawczych oraz bibliotekach naukowych. Jak widać, było to pożyteczne.

Najnowszy numer czasopisma, z racji tego że otwiera kolejny dziesięciostronny, zawiera kilka podsumowań. Mianowicie: co udało się w *Wiesniku* zasygnalizować do tej pory. Oraz jak wygląda stan białoruskiego bibliotekarstwa, a także tamtejszego kształcenia bibliotekoznawczo-informatologicznego na poziomie uczelnianym i jeszcze wyższym. Wcale to ciekawe. No i są także akcenty polskie – dla nas tym bardziej interesujące.

Ustalenia przeszłościowe w tej części Europy nie dla wszystkich są łatwe, szczególnie jeżeli odnoszą się do pierwocin piśmiennictwa narodowego. Sprawniej idzie to w krajach nadbałtyckich oraz udaje się Czechom, Słowakom i nam – za sprawą większej odmienności języków, często alfabetów, a także religii. Natomiast Ukraińcom i Białorusinom swój punkt widzenia narzucili Rosjanie, bo takie były okoliczności. Jak tu zasygnalizowałem, M. Timoszyk spróbował odruszczyć opinie o początkach piśmiennictwa na Ukrainie. Podobną próbę w wersji białoruskiej podjął też w tym roczniku Juryj Łajruk z mińskiego Muzeum Narodowego, lecz ustalili tylko miejsce na terenie dzisiejszej Białorusi, natomiast językowo edycje były po rosyjsku. No to może należało przywołać wydania późniejsze, ale autentycznie białoruskie?

Jest w tym roczniku blok okołopolski. Dokumentalne archiwalia polsko-litewskie z lat 1386-1601 opisuje Andriej Łatuszkin z Uniwersytetu w Mińsku. Porządkowane podobno wielokrotnie, także przez historyków polskich. Jednak wygląda na to, że nieefektywnie, skoro nie udało się temu zbiorowi materiałów nadać nawet jakiejś wiążącej, poręcznej i charakteryzującej nazwy.

Z kolei Marina Rafiejewa z biblioteki w Homlu sygnalizuje, że uchowało się tam 6300 tomów z dawnego dwudziestotysięcznego księgozbioru gen. Paskie-

wicza. No tak: to nazwisko akurat nam kojarzy się fatalnie albo jeszcze gorzej. Jednak ten księgozbiór, bądź jego fragmenty, jest bogaty i różnorodny, więc ciekawy. Bo generał kradł, odbierał, a także przyjmował podarunki, zatem jest to *jakaś* ilustracja ówczesnego piśmiennictwa obiegowego.

Ale pozostałość kolekcji wymaga uporządkowania i opracowania, a na kompleksowe przedsięwzięcie brakuje środków i możliwości: nie ma kto tego zrobić – brakuje personelu i umiejętności. No i to jest smutny, mimo że pośredni, sygnał stanu tamtejszego bibliotekarstwa. Autorka powiadamia, że dokonano cyfrowego przetworzenia tego, co pozostało, oraz przygotowano wystawę objazdową, jednak prawdę mówiąc nie wiadomo, co to znaczy.

Najciekawsze wśród poloników jest doniesienie Ludmiły Komorowskiej (z rosyjskiej biblioteki w Mińsku) na temat XIX-wiecznych losów wsi Borek (wtedy: Żukow-Borek), odległej od Mińska o 90 km, którą w swoim czasie szlachcic Żuk wygrał w karty a następnie sprzedał Radziwiłłom. Ci zaś doinwestowali ją solidnie, budując młyn, most, karczmę (no jasne) oraz nawet cerkiew; wszystko to zresztą nadal tam stoi.

Ale ważniejsze są skojarzenia literackie. Mianowicie w drugiej połowie XIX stulecia książę pozwolił osiedlić się tam kilku niezamożnym rodzinom pisarzy – jak to autorka określiła: polsko-białoruskich – a wśród nich Ludwikowi Kondratowiczowi. Nie dopisawszy jednak, że publikował jako Syrokomla. To tam napisał, bardzo później popularny w Rosji, wiersz (pieśń) *Jamszczik*.

W ogóle zaś w tomie przeważają teksty relacyjno-doniesieniowe. Redakcja najwyraźniej zmierzała do skonstruowania jakiejś panoramy, sumując w ten sposób minione dziesięciolecie. Ale jakość referencji wydaje mi się nadmierne zróżnicowana. Za mało jest przede wszystkim rozbudowanych i wyposażonych w oceny syntez.

Oto Marina Pszibytko z Biblioteki Narodowej, zresztą autorka solidna, donosi że jest na Białorusi 7200 bibliotek publicznych, 2570 szkolnych, oraz 1527 publiczno-szkolnych. Nie wiadomo jednak, czy to dużo czy mało, czy są dobre czy marne, ani czy żółte czy fioletowe. Z takiej referencji nie wynika nic. Pojawia się tylko dopisek, również zresztą enigmatyczny, że od 2016 r. rozwija się tam oferta informacyjna, także cyfrowa, oraz zdalny dostęp do bibliotek. Ale to jest treść na pół zdania, a nie na cały artykuł.

Jeszcze mniej wynika z wypowiedzi Natalii Liucko (też z Biblioteki Narodowej) na temat tamtejszych bibliotek uczelnianych. Funkcjonują na Białorusi 42 uczelnie państwowe, jest też dziewięć niepaństwowych – i wszystkie z bibliotekami. Ale jak są na tych uczelniach sieci biblioteczne skonstruowane, tego nie wiadomo. Generalnie odnotowano ostatnio redukcje bibliotecznych powierzchni, punktów obsługi oraz personelu. Natomiast zintensyfikowała się komputeryzacja i obsługa zdalna; chociaż jak dla mnie, to takie sformułowanie (znowu!) nie znaczy nic. A z innych *półgębkowych* komentarzy można wnioskować, że sytuacja jest kiepska.

No i do tych powiadomień dolepiono sygnał Iriny Chamczin, charakteryzujący sieć bibliotek pedagogicznych i szkolnych, lecz na... Ukrainie. Funkcjonuje ich tam 16 tys. więc sporo, natomiast zreferowana oferta usługowo-programowa wygląda jak za najgorszych sowieckich czasów. Timoszik (którego tu przywołałem) nie o wszystkim wie? Możliwe, że to tylko takie wrażenie, wynikające ze skostniałego stylu referencji, ale żadnej pewności nie ma.

W tym kontekście znaczące wydaje się pytanie Swietłany Wołżeninej z biblioteki w Jugrach (Rosja) o stosunek publiczności do bibliotek. Czy mianowicie budzą społeczne zaufanie. Otóż mogłyby, ale nic za tym nie przemawia. Przeciwnie.

Autorka rozgląda się dookoła, przywołuje sondaże i twierdzi, że w Rosji najwyższym zaufaniem cieszy się cerkiew (choć – dopowiem – zawsze była na posługi każdej władzy), w dalszej kolejności armia, potem zaś internet oraz inne media. Może to prawda, a może nie, rejestr jest porażający, ale w każdym razie bibliotek w tych kręgach nie ma. Dlaczego? Ponieważ (jej zdaniem) nadmiernie wysoko oceniają same siebie, traktują publiczność z góry i w ten sposób dokonują autoizolacji. Ma miejsce ewidentnie postsowiecki syndrom odseparowania się bibliotek, zwłaszcza publicznych i szkolnych, od pokolenia młodego oraz jeszcze młodszego. Żeby to przełamać, potrzeba 10-15 lat i ciężkiej pracy uprzyjaźniającej. Jestem przekonany, że w tym co Wołżenina napisała jest bardzo dużo racji.

Z kolei o badaniach czytelnictwa wypowiada się Jelena Dołgopołowa z mińskiej Biblioteki Narodowej, autorka solidna; ten tekst inauguruje zresztą cały ten tom. Według jej opinii, sowieckie analizy czytelnictwa – a było ich niemało – mogły być znaczące i użyteczne, ale zostały spaprane przez ideologizację oraz nadtrąbienie, że wszystko co w ZSRR, jest absolutnie najlepsze. Podzielałam to zastrzeżenie, a także sugestię Dołgopołowej, że skonstruowano w tym regionie teoretyczny model czytelnika, który nijak nie pasował oraz nie pasuje do rzeczywistego. Czytelnika realnego nie dało się zarysować. Choć gdzie indziej prezentacje czytelnictwa też nie były i nie są imponujące.

Konkretnie zaś na Białorusi – twierdzi autorka – od dłuższego czasu przeprowadzano próby analiz czytelnictwa młodzieży i dzieci, a także mieszkańców małych miast rolniczych. Jednak doniesień o rezultatach, w tym tekście nie ma. W nowej sytuacji niepodległościowej (jakakolwiek jest) podjęto też analizę obiegu książek autorów białoruskich, ale o efektach również nie ma ani słowa. To jest w ogóle osobny problem. Światowej klasy prozaik Wasil Bykau pisał swoje wspaniałe mikropowieści po białorusku oraz po rosyjsku: czy one są jeszcze w ogóle odbierane i jak? Nic nie wiadomo. Jedyny w tym tekście konkret jest taki, że w oparciu o środowiskowe dociekania w jednej miejscowości, mianowicie w Słucku, odnotowano wyraźny spadek zainteresowania piśmiennictwem zawodowym.

Kilka wypowiedzi traktuje o kształceniu kadr dla bibliotekarstwa oraz dla bibliotekoznawstwa. Trzeba przy tym pamiętać, że tamtejszy model studiów wyższych, tak jak i rosyjski, niby odpowiada modelowi bolońskiemu, ale nie zawsze i niekoniecznie. Chyba nie warto tego tu wyjaśniać.

Julia Gałkowska (jednak: z moskiewskiego uniwersytetu kultury i sztuki) sygnalizuje, że studia bibliotekoznawcze – aspiranckie bądź magisterskie – istnieją w Mińsku od 75 lat, ale nie donosi w jakim języku odbywają się tam obecnie. Z jej relacji wynika, że mają profil jednoznacznie informacyjny i tak zresztą jest prawie wszędzie. Tymczasem akurat ja uważam, że jest to fundamentalne i bardzo szkodliwe ograniczenie zakresu wiedzy, która ma odnosić się do systemu procesów instytucjonalnych. W tym kontekście nie widać racjonalnego modelu absolwenta tych studiów. Opowieści o nastawieniu na publiczność, na użytkowników, na społeczeństwo, mimo że *głęboko słuszne*, jedynie sloganizują świadomość poniżej poziomu przyzwoitości.

Inny tekst, napisany przez Jekaterinę Zapolskich z mińskiej Biblioteki Narodowej, potwierdza, że mam trochę racji. Mianowicie zupełnie nie wiadomo, jak

tam jest przygotowana do pracy kadra młodych bibliotekarzy oraz czy w ogóle, zgodnie z kwalifikacjami, tę pracę podejmuje. Ale może lepiej nie przesadzać z narzekaniami. Ani w Polsce, ani gdziekolwiek indziej też nie wiadomo, jak to rzeczywiście wygląda.

Na Białorusi, tak jak w Rosji, odpowiednikiem naszego doktora jest kandydat nauk i w zakresie bibliotekoznawstwa oraz nauki o informacji takie stopnie również są. Z tym że dawniej uzyskiwane raczej w Moskwie oraz w Leningradzie aniżeli w Mińsku. Gdzie istnieje obecnie uniwersytet kultury i to reprezentanci tej uczelni – Mikołaj Jacewicz oraz Wiera Kasap – piszą o jej bibliotekoznawczo-informatologicznych osiągnięciach. Niestety: porażająco chaotycznie. Wygląda na to, że było tam ponad 20 prac i obron kandydackich, oraz jedna doktorska (po naszymu: habilitacyjna), którą zaliczył R. Matulski, a trzy osoby zostały profesorami. We wzajemnych zestawieniach i porównaniach jednak nic się nie zgadza. Jest jeszcze przywołanie faktów współpracy ośrodka mińskiego z zagranicznymi, w tym z wrocławskim.

Z kolei dokumentację tamtejszych dokonań z tego zakresu próbuje jakoś uporządkować i zreferować Jelena Kozlenko z tejże uczelni, koncentrując się na dorobku uczonych białoruskich, a także niektórych zagranicznych. Znalazł się wśród nich Krzysztof Migoń. Ale ogólna panorama jest w tym tekście żadna.

To jest już 11 numer rocznika, więc redakcja wpadła na pomysł oceny dziesięcioletniego dorobku, powierzając to zadanie Natalii Bieriozkiej z mińskiego Uniwersytetu Kultury. Która w ocenach starała się zachować umiarkowanie, ale chwilami podnosiła noty nadmiernie i moim zdaniem bezzasadnie, a przeczytałem wszystkie poprzednie edycje. Mimo całej życzliwości uważam, że ich jakość aż tak dobra nie jest. Chociaż niektóre pojedyncze wypowiedzi zasługują na uwagę. W ogóle zaś to jednak wszyscy i wszędzie staramy się robić wrażenie, że mamy coś ważnego do powiedzenia, toteż białoruski rocznik żadną niezwykłością pod tym względem nie jest.

Zresztą autorka uczciwie przyznaje, że indeksy wartości naukowej dla publikacji w tym akurat czasopiśmie do najwyższych nie należą. W sumie znalazło się tam 189 tekstów, z tego 160 (85%) w wykonaniu autorów białoruskich, głównie z Biblioteki Narodowej. Natomiast nie napisano ile z tego było po białorusku. Moim zdaniem niewiele, albo jeszcze mniej.

Dominował język rosyjski, nawet w wykonaniu autorów krajowych. A już wyłącznie po rosyjsku publikowali autorzy zagraniczni, głównie z Rosji, oraz z Ukrainy, a także z Polski oraz z Azerbejdżanu. Wśród autorów cytowanych przeważali Białorusini – R. Matulski oraz T. Kuźmicz – a spośród zagranicznych Rosjanie: J. Stoliarow, S. Miatlina i J. Mielientiewa. W tym regionie to są nazwiska stosunkowo nieźle rozpoznawalne.

Najważniejsze jednak, że taki periodyk w ogóle istnieje i to na całkiem godziwym poziomie merytoryczno-naukowym. Traktuje głównie o problemach bibliotekarstwa białoruskiego i chyba to jest tam potrzebne. Oraz – szkoda że tylko we fragmentach – ukazuje się w języku narodowym. Może z czasem będzie po białorusku wypowiedzi więcej. Jakieś bowiem szersze przebudzenie narodowe nie jest tam prawdopodobnie wykluczone.

Jacek Wojciechowski